

TEMATY TYGODNIA

- 10** Mariusz Janicki, Wiesław Władysław **PiS tumanii, ale już nie straszy**
- 13** Wojciech Szacki **Jak to zrobił Duda**
- 15** Malwina Dziedzic **Lewicowy taniec na „Titanicu”**

POLITYKA

- 18** Marek Ostrowski, Łukasz Wójcik **Tak debatuja inni**
- 20** Kuba Wojewódzki **MEA CULPA Spowiedź wyborcy Kukiza**

SPOŁECZEŃSTWO

- 24** Ewa Wilk **Jakich kompetencji brakuje Polakom**
- 27** Edwin Bendyk, Marta Mazuś **Kim są kukizowcy**
- 30** Juliusz Cwieliuch **Co się dzieje z drugim Tupolewem**
- 32** Piotr Pytlakowski **Gang habilitowany**
- 35** Elżbieta Turlej **Życie duchowe w wielkiej płycie**

RYNEK

- 40** Joanna Solska **W prywatnych klinikach też są kolejki**
- 43** Adam Grzeszak **Znowu wojna piwna**
- 46** Ignacy Niemczycki **Czarna legenda umowy handlowej UE–USA**

ŚWIAT

- 54** Adam Krzemiński **ROSJA–NIEMCY–POLSKA Polityka miesza w historii**
- 57** Łukasz Wójcik **Czy świat może się ubezpieczyć od katastrof**
- 60** Artur Domosławski **KUBA Nowi Kubańczycy**
- 63** Aleksandra Lipczak **HISZPANIA Muzułmańsko-katolicki spór o katedrę**

HISTORIA

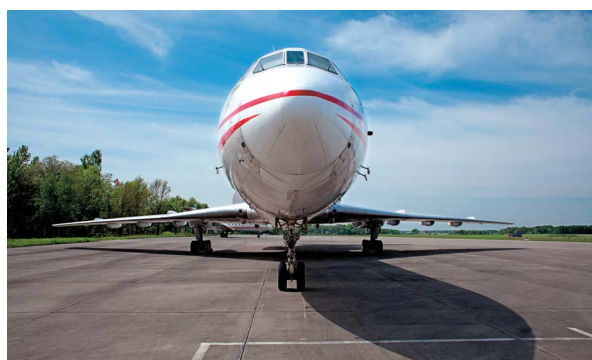
- 66** Małgorzata Kozłowska **Kronenberg – patriota i biznesmen**



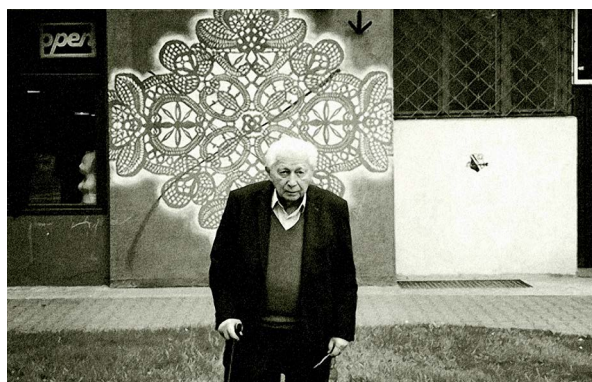
15 Poszukiwacze zaginionej lewicy



24 Umiejętności potrzebne od zaraz



30 Drugi wrak Tupolewa



116 Stanisław Likiernik i jego Warszawa

- 69** Piotr Kowalczyk **Podrobione pamiątki Mussoliniego**

NAUKA

- 72** Rozmowa z nowym prezesem PAN **prof. Jerzym Duszyńskim** o problemach polskiej nauki
- 76** Agnieszka Krzemińska **Straszny poród naturalny**
- 80** Paweł Walewski **Niepokorny i przekorny prof. Jerzy Vetulani**

KULTURA

- 86** Bartek Chaciński **Muzycy politycy**
- 90** Justyna Sobolewska, Aleksandra Żelazińska **Księgarze w opałach**
- 93** **KAWIARNIA LITERACKA** Małgorzata Rejmer
- 94** Marcin Zwierzchowski **Robert M. Wegner – drugi Sapkowski?**
- 96** Urszula Schwarzenberg-Czerna **„Mad Maxa”**

LUDZIE I STYLE

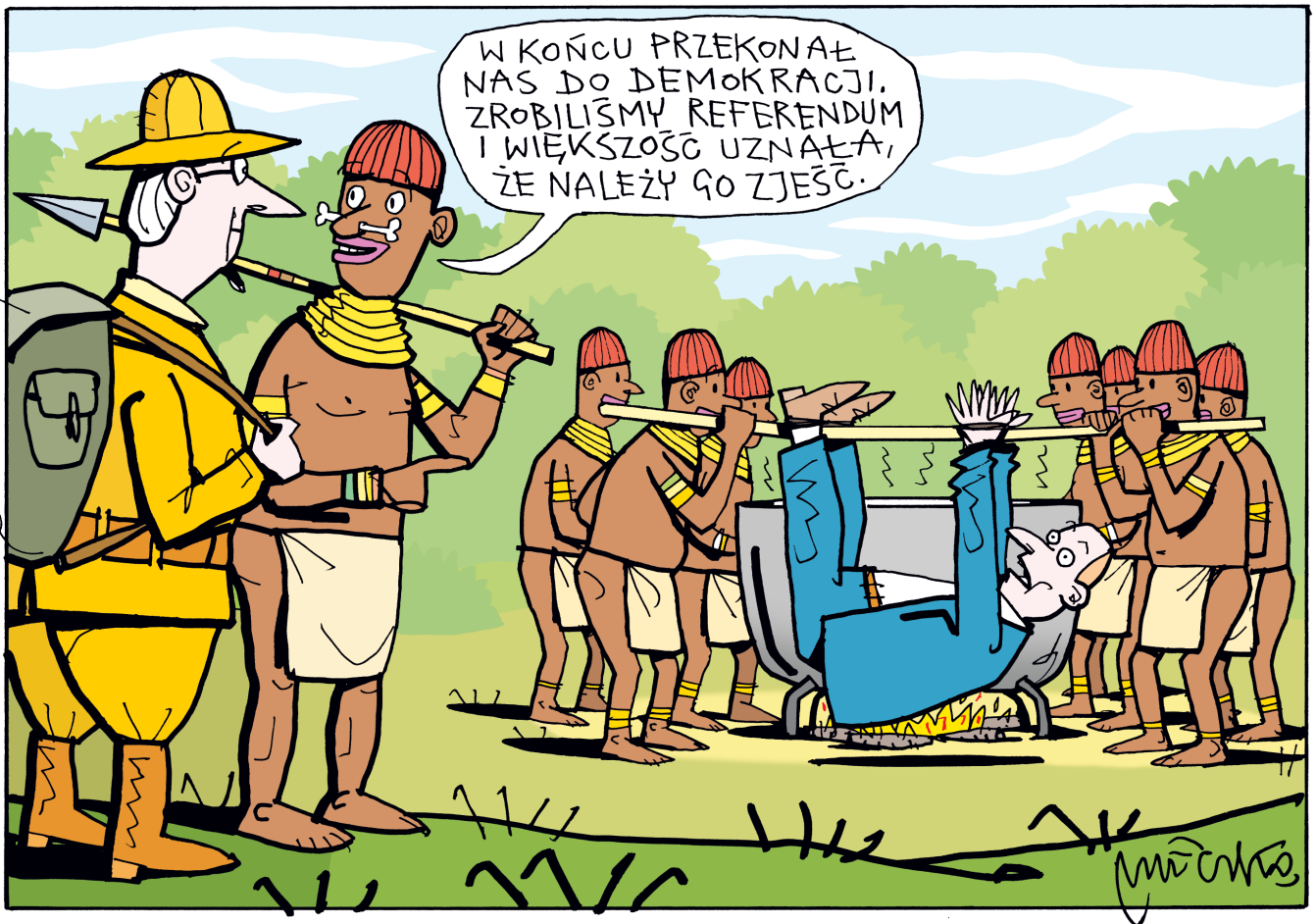
- 100** Piotr Sarzyński **Design dla bogatych i dla potrzebujących**
- 103** Jarek Szubrycht **Tożsamość wykradziona z sieci**
- 106** Mistrz komputerowych gier **Wiktor „Taz” Wojtas** o e-rywalizacji i e-sławie
- 108** **POLEMIKA** **Spór o opłatę za nośniki danych**

NA WŁASNE OCZY

- 116** Marcin Kołodziejczyk, fotografie Piotr Małeck **Spacer z Kolumbem po Warszawie**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **82** Afisz • **110** Passent
- **111** Tym • **112** Stomma
- **114** Do i od redakcji
- **115** Fusy, plusy i minusy
- **122** Polityka i obyczaje



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

Komu przekazać państwo

felieton



Jednym ze zwycięzców I tury wyborów jest moim zdaniem szef sztabu kampanii prezydenta Komorowskiego poseł Tyszkiewicz, o którym dzisiaj mówi cała Polska, a wcześniej był postacią szerzej nieznaną. W wyniku kierowanej przez siebie kampanii poseł ten bardzo się wypromował i stał się prawie tak rozpoznawalny jak kandydatka Ogórek. W dodatku udało mu się przejść do II tury, podczas gdy kandydatka Ogórek, niestety, nie przeszła, gdyż jak ujawniła, wyborcy, którzy deklarowali poparcie dla niej, ostatecznie „przyczynili się do dobrego wyniku Pawła Kukiza”.

Nie wiem, co tymi wyborcami kierowało, ale uważam, że ich zachowanie nie było w porządku. Pani Ogórek robiła wszystko, żeby ich do siebie atrakcyjnym wyglądem przekonała, więc dlaczego oni tego nie docenili i na nią nie zagłosowali, chociaż ją popierali, za to w ostatniej chwili zagłosowali na Ku-

kiza, którego nie popierali (zresztą słusznie, bo wygląda o wiele gorzej od pani Ogórek)?

Ale muszę przyznać, że sytuacja od sytuacji kandydata Jarubasa, bo przynajmniej wiadomo, kogo poparł jej elektorat. Tymczasem o elektoracie Jarubasa do dzisiaj nic nie wiadomo, bo w ogóle się nie ujawnia, co jest prawdziwym dramatem dla tego wiele obiecującego wszystkim, a także sobie, polityka. W opinii prezesa PSL Jarubasa to przyszłość polskiej polityki, ale jeśli tak, to uważam, że popełnił błąd, gdyż powinien poczekać i pojawić się w polityce dopiero w przyszłości, a nie już teraz, kiedy polityka nie jest jeszcze na jego przyjście gotowa.

Jak wiadomo kandydat Kukiz zadeklarował, że w wyborach parlamentarnych chciałby zdobyć władzę nie po to, żeby rządzić, ale po to, żeby przekazać państwo obywatelom. Pytanie tylko, w jaki sposób i którym

konkretnie obywatelom, bo nie jest tajemnicą, że istnieje kilka grup obywateli zainteresowanych przejęciem państwa. Media spekulują, że jeśli kandydat ten komuś państwo przekáže, to raczej obywatelom, których dobrze zna i ceni z racji tego, że wymyślił i wylansował jego kandydaturę na prezydenta. Z tym że coraz wyraźniej słychać głosy, żeby jednak państwa żadnym obywatelom nie przekazywać, bo nie wiadomo, co ci obywatele z tym państwem zrobią. Panuje opinia, że większość obywateli i tak nie ma czasu i ochoty zajmować się państwem i że nie po to przekazali kierowanie państwem politykom, żeby teraz to państwo od nich przejmować. Dlatego trzeba mieć nadzieję, że gdy Paweł Kukiz nabierze politycznego doświadczenia, rozmyślił się i wstrzyma od przekazywania państwa obywatelom, i zatrzyma je dla siebie przynajmniej do czasu, aż przeprowadzi w nim zapowiadane przez siebie reformy.

Szwajcarski zegarek w drodze do Zurychu

Nowy Terminal - nowe marki

Odkryj nasze nowe sklepy



**LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA**



Amtrak pod specjalnym nadzorem

Katastrofa pociągu osobowego w Filadelfii podgrzała amerykański spór o transport publiczny. Pociąg należący do kolejowej spółki publicznej Amtrak pędził z prędkością 106 mil (czyli grubo ponad 160 km) na godzinę tam, gdzie wolno mu było 50. Wypadek z torów na łuku. Zginęło siedem osób, ponad 200 odniosło obrażenia. Wypadek zbiegł się z dyskusją w Kongresie o wysokości dotacji dla Amtraku z budżetu federalnego. Firma powstała w latach 70. na gruzach kilku zbankrutowanych spółek kolejowych. Przewozi rocznie dziesiątki milionów pasażerów, ale jest krytykowana za złą jakość usług i brak finansowej przejrzystości. Zaraz po katastrofie republikański kongresmen John Mica, członek parlamentarnej komisji transportu, żalił się, że Amtrak działa „w stylu sowieckim”: marnotrawi przyznane fundusze, jest nadmiernie scentralizowany. Mimo to demokraci zabiegają, by w przyszłym roku podwyższyć dotacje aż o miliard dolarów, republikanie naciskają na ich obniżenie o 252 mln (15 proc.).

Na kolejach amerykańskie kłopoty z infrastrukturą się nie kończą. Według danych z 2013 r. aż 42 proc. zatłoczonych dróg w aglomeracjach miejskich generuje roczne koszty sięgające 100 mld dol. Federalne władze transportowe potrzebują 170 mld dol. rocznie na utrzymanie publicznych szos, mostów, tuneli, a mogą liczyć na 90. Nawet w Kalifornii, najbogatszym stanie USA widać, że infrastruktura się starzeje; niektóre połatanne odcinki autostrad międzystanowych przypominają szosy białoruskie. Od czasów Dwighta Eisenhowera autostrady te są utrzymywane z podatku od benzyny, ale większy ruch samochodowy przy mniejszym zużyciu paliwa nie daje odpowiednich wpływów do budżetu państwa.

Niemiecka republika strajkowa

Gdy na początku lat 80. Polskę ogarnęła fala strajków, wielu Niemców zareagowało sceptycznie. „Nie można mniej pracować i więcej zarabiać” – rozumowali. W NRD był to wręcz stały motyw państwowej propagandy. Dziś to Niemcy częściej przerywają pracę. 10 maja skończył się najdłuższy w historii – aż sześciodniowy – strajk maszynistów Niemieckiej Kolei. Związkowcy mówią jednak tylko o przerwie. Strajkują lub strajkowali ostatnio również m.in. piloci, listonosze i wychowawcy przedszkolni. „Witamy w Republice Strajkowej Niemiec” – pisze „Die Welt”.

Według Instytutu Gospodarki i Nauk Społecznych (WSI) rocznie na tysiąc zatrudnionych przypada w Niemczech 16 dni strajkowych, trzy razy więcej niż w Polsce. Owszem, to wciąż dużo mniej niż we Francji (139), ale ten rok może być rekordowy. Do połowy maja strajkowano tu już przeszło dwa razy dłużej niż w ca-

łym ubiegłym roku – wyliczył Instytut Gospodarki Niemieckiej (IW) w Kolonii. Przyczyn jest kilka. Tam gdzie kiedyś negocjowano układ zbiorowy dla całej grupy zawodowej, dziś coraz częściej trzeba to robić na poziomie zakładu. Tak dzieje się np. w prywatyzowanych szpitalach. Po drugie, w ostatniej dekadzie wzrosły wpływy małych związków zawodowych, takich jak lotniczy Cockpit czy kolejowy GDL. Związkowi giganci – jak Ver.di – organizują więc strajki, by pokazać, że wcale nie gorzej dbają o interesy pracowników. Po trzecie, gra toczy się już nie tylko o podwyżki płac i czas pracy. Pracownicy Postbanku domagali się gwarancji zatrudnienia do 2020 r. Piloci Lufthansy walczyli o utrzymanie przywilejów emerytalnych. Dzisiejsze strajki w Niemczech w ogromnej większości dotyczą właśnie sektora usług. Są więc wyjątkowo uciążliwe dla obywateli.



Tęczowy Maimane

W wielokulturowym „tęczowym społeczeństwie” równych szans, o którym marzył dla RPA Nelson Mandela, nie byłoby przywoływania jako wyróżnika koloru skóry. Ale to pieśń przyszłości. Dlatego światowe agencje obiegały wiadomość, że na czele głównej „białej” partii opozycyjnej stanął czarnoskóry. 34-letni **Mmusi Maimane**, syn imigrantów zarobkowych, wyrastał w biedamieście Soweto. Skąd za pomocą stypendiów, talentu i siły woli, uzyskawszy wyższe wykształcenie i dwa dyplomy, wspiął się do krainy marzeń. Do domu na modnych przedmieściach Johannesburga, z białą żoną, którą poznał w ruchu kościelnym. W ten

sposób niejako podwójnie uosabia zmiany w RPA. Jego partia Sojusz Demokratyczny (DA) gromadziła dotychczas głównie białych i „kolorowych”, jak ich nazywano za apartheidu, czyli rozmaitych Metysów – i Hindusów. Nowy przewodniczący ma ją mocniej otworzyć na tych, którzy dotąd głosowali na ANC, partię czarnej większości. Mimo erozji i licznych skandali wokół aktualnego prezydenta Zuma ta historyczna partia Mandeli ma ciągle ponad 60 proc. zwolenników. A obu wyrósł bardziej radykalny konkurent: populistyczny Wojownicy o Wolność Gospodarczą (EFF) Juliusa Malemy, byłego szefa młodzieżówki ANC, nawołującego do nienawiści rasowej.

Boliwia marzy o plaży

Boliwia wystąpiła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z dość niecodziennym wnioskiem. Domaga się dostępu do morza. Wniosek w Hadze złożył osobiście prezydent **Evo Morales**, a na miejscu spraw będzie doglądać poprzedni prezydent Carlos Mesa. Rzecznik ma charakter narodowo-ambicjonalny, w regionie jeszcze tylko Paragwaj nie ma swojego morza. A towarzyszą jej rozkręcane nadzieje, że biedna Boliwia z własnymi portami – oraz złożami ropy i gazu – wreszcie stanie na nogi. Klimat ten oddaje nadawany na okrągło podniosły utwór muzyczny „Nasze przyszłe plaże”. Boliwia straciła 400 km wybrzeża w 1879 r. w tzw. wojnie o saletrę – na rzecz Chile (które także uszczknęło wówczas nadmorski kawałek Peru). W traktacie pokojowym

z 1904 r. Boliwia pogodziła się z tą stratą, uzyskując w zamian dożywotnie prawo do tranzytu, korzysta też gościnnie z chilijskiego portu w Antofagasta. Często jednak dochodziło do rozmaitych konfliktów, stąd wieloletnie dążenie Bogoty, żeby jednak przebić swoją ścieżkę do morza. Najbliżej było za czasów gen. Augusto Pinocheta, który zaproponował korytarz, ale pomysł zawetowało Peru. Niedawno zaś po stronie chilijskiej powstał projekt wykopania 150-km tunelu, który połączyłby Boliwię ze sztuczną wyspą na Oceanie Spokojnym, do której cumowałyby tankowce. Tylko kto miałby to gigantyczne przedsięwzięcie sfinansować? Prawna droga do morza też jest daleka i nie wiadomo, czy Trybunał w ogóle uzna, że jest kompetentny w rozstrzyganiu tego typu sporów.



© REUTERS/FORUM

Teheran już się zmienia



© AP/EAST NEWS

W krajach sunnickich Rembrandt mógłby najwyżej zawisnąć na szubienicy, jako że sunnizm zakazuje portretowania ludzi. W szyickim **Teheranie** holenderski geniusz zawisł na kilkudziesięciu billboardach. Zresztą nie tylko on, również Edvard Munch i Henri Cartier Bresson z jego zdjęciami. Na początku maja, z dnia na dzień, niemal na wszystkich billboardach w stolicy Iranu pralki, soki i męczennicy ustąpili miejsca wielkiej sztuce. To zasługa burmistrza Teheru Mohammada Bakera Kalibafa, który musiał wystarać się o specjalne pozwolenie od ajatollahów. Twierdzi on, że Irańczycy nie mają czasu chodzić do muzeów i galerii, więc góra przyszła do Mahometa – teherańczycy

w korkach spędzają średnio ponad trzy godziny dziennie, co jest jednym z najgorszych wyników na świecie.

Burmistrz, kiedyś radykalny członek Strażników Rewolucji, musiał przeżyć jakieś nawrócenie – żartują krytycy, sugerując, że Kalibaf z wyrachowania przygotowuje się już na otwarcie kraju po tym, jak latem Iran prawdopodobnie podpisze umowę nuklearną z Zachodem. Jego najnowszy pomysł – chce zlikwidować słynne więzienie Evin, zwane irańską Bastylią. W jego lochach zginęło tysiące więźniów politycznych, zarówno przed, jak i po rewolucji. Teraz ma być tam park i place zabaw. W Iranie każda zmiana musi być rewolucyjna.

Macedonia się burzy

Macedończycy wyszli na ulice Skopje, wielotysięczne tłumy kolejny dzień oblegają siedzibę rządu, na transparentach wypisali „Żegnaj Nikoła” i obiecują, że nie opuszczą placu, póki premier Nikoła Gruevski nie poda się do dymisji. Wygląda, że nie żartują.

Zoran Zajew, lider opozycyjnego Socjaldemokratycznego Związku Macedonii (SDSM), odpala kolejne bomby przeciwko rządowi Gruevskiego: upublicznił kolejne nagrania z podsłuchów, jakie podobno na zlecenie rządu prowadzono w kraju. Obejmują najważniejsze osoby w państwie, opozycję, grupy wyznaniowe i dziennikarzy. Nagrania mają też świadczyć o sfałszowaniu zeszłorocznych wyborów do parlamentu.

Macedonia jest też na skraju nowego konfliktu z Kosowem, niedawno doszło do ostrych starć na granicy, w mieście Kumanowo zginęło kilkanaście osób, w tym ośmiu macedońskich policjantów. Według oficjalnych informacji albańscy bojownicy żądali przyłączenia do Kosowa przygranicznych terenów zamieszkałych przez Albańczyków. Są oni w Macedonii silną, ponad 25-proc. mniejszością. Opozycja twierdzi jednak, że to premier używa konfliktów etnicznych, żeby przykryć blisko 30-proc. bezrobocie, kryzys ekonomiczny i niepowodzenia w staraniach o zbliżenie z UE.

Tymczasem Gruevski odbija piłeczkę. Jego zdaniem to Zajew jest na usługach obcych służb i chce sprowokować przewrót. Moskwa natomiast komentuje całą sytuację jako próbę wzniecenia przez Zachód kolejnej kolorowej rewolucji. Wszystko rzekomo dlatego, że Macedonia nie poparła antyrosyjskich sankcji.

Kaczyński ujawnił, od kogo pożyczka



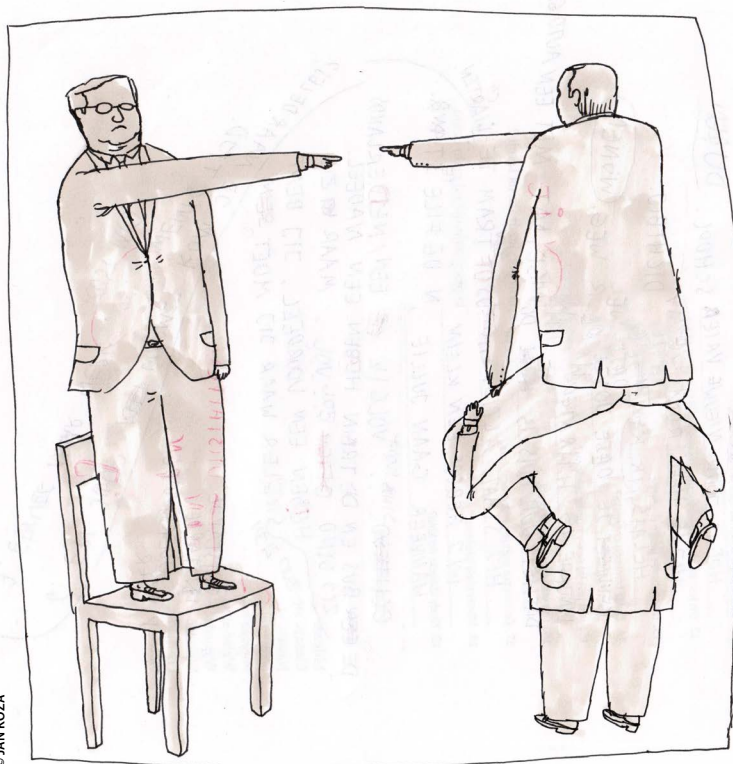
© DAREK GOLIK/FOTRZEPA/FORUM

W tym roku Jarosław Kaczyński, wypełniając oświadczenie majątkowe, wyłożył wszystkie karty na stół. W latach ubiegłych w rubryce zobowiązania pieniężne wpisywał tylko ich wysokość, pomijając okoliczności pożyczki (od kogo, w związku z jakim zdarzeniem i w jakiej wysokości). Tym razem ujawnił: „80 tys. zł zobowiązania prywatne wobec p. **Janiny Goss**”. Jest ona jedną z najbardziej zaufanych

osób Jarosława Kaczyńskiego, zwana przez niektórych szarą eminencją PiS. Goss jest związana z regionem łódzkim i – jak mówią w partii – ma duży wpływ na listy wyborcze PiS w tym okręgu. Jej zażyłość z prezesem Kaczyńskim wywodzi się jeszcze z czasów Porozumienia Centrum, z początku lat 90. Choć zalicza się do partyjnej starej gwardii, to nie zajmowała eksponowanych stanowisk. Nie ma ambicji politycznych. Najbardziej prestiżową posadą, jaką objęła, było szefowanie radzie nadzorczej Telewizji Polskiej (za rządów PiS). Prezes PiS ma jeszcze dług wobec innej osoby prywatnej w wysokości 25 tys. zł.

Jarosław Kaczyński ma też do spłaty „ok. 150 tys. zł kredytu bankowego”. Pierwszy raz w swoim oświadczeniu majątkowym prezes PiS ujawnił, że zapożyczył się w SKOK Stefczyka (na 6,3 proc.) pod zastaw domu. Wskazał też, że zadłużenie miało pokryć koszty związane z ówczesną „opieką nad chorą mamą”. Prezes PiS ma prawo wziąć pożyczkę w dowolnej instytucji finansowej, jednak pożyczka w SKOK może być uznana za niezręczną, zważywszy, że PiS walczyło w Sejmie o to, by SKOK nie podlegały nadzorowi KNF. (DAB.)

Jan Koza



© JAN KOZA



© MICHAŁ KLAGEPORTER

Poseł zatroskany o Światowe Dni Młodzieży

Poseł PiS Kazimierz Moskał bardzo się martwi organizacją katolickich Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, zaplanowanych na ostatnie kilka dni lipca przyszłego roku. W interpelacji do ministra infrastruktury pisze, że krakowskie Dni kolidują z odbywającym się w tym samym czasie Przystankiem Woodstock w Kostrzynie nad Odrą. Poseł PiS zatroskany jest o to, że przez Woodstock ucierpią Światowe Dni Młodzieży, na których gościć ma papież Franciszek. Chodzi mu także „o zapobieżenie ewentualnym prowokacjom wymierzonym w uczestników Dni, antykatolickim i antyreligijnym ekscesom, jakie często w ostatnich latach zdarzały się podczas tej imprezy (Woodstock – red.)” – pisał w interpelacji. Według Kazimierza Moskala ŚDM to impreza porównywalna z „igrzyskami olimpijskimi czy mistrzostwami świata w najbardziej popularnych dyscyplinach sportu”, więc w kolejnej interpelacji poseł wyraża nadzieję, że uda się stworzyć nowe połączenia kolejowe do stolicy Małopolski.

Poseł tak się skupił na przeszkodach, które stoją na drodze do godnej organizacji ŚDM, że nie zdążył odnotować, iż 22 Przystanek Woodstock odbędzie się w innym niż zwykle terminie, w połowie lipca, i został przesunięty właśnie ze względu na ŚDM. – *Pod względem logistycznym, organizacyjnym i społecznym Światowe Dni Młodzieży to będzie przedsięwzięcie gigantyczne, z którym nie może konkurować żadne inne spotkanie o podobnych charakterze* – podkreśla Krzysztof Dobies, rzecznik prasowy WOŚP, organizatora Przystanku. Dodaje, że organizatorzy Światowych Dni Młodzieży zwrócili się do organizatorów Przystanku Woodstock z prośbą o pomoc logistyczną w organizacji krakowskiej imprezy i że oczywiście ją dostaną. (DAB.)

Debata przesadzi?

Pierwszą debatę prezydencką Bronisław Komorowski oczywiście wygrał i to zdecydowanie. Nawet nie dlatego, że merytorycznie był lepszy, lepiej przygotowany, że miał celniejsze riposty i punktował Andrzeja Dudę bezlitośnie. Gdyby urzędujący prezydent po pięciu latach merytorycznie przegrał z niedoświadczonym, politycznie niedojrzałym kontrkandydatem, co debata dość bezlitośnie obnażyła, właściwie nie byłoby o czym mówić. Chyba tylko o tym, że się na urząd nie nadaje, że te lata w prezydenckim pałacu stracił, a jego polityczny życiorys jest niewiele wart. Komorowski w tym starciu pokazał charakter, waleczność, twardość i brak strachu towarzyszącego polskim politykom na każdym kroku, w trosce o każdy sondażowy punkt. Komorowski wygrał, bo pokazał, że Andrzej Duda dobrze czuje się tam, gdzie recytuje wyuczone formułki obietnic, ale marnie radzi sobie z materią państwową, nie ma własnych poglądów i właśnie drży o te punkty, które być może przybliżają go do prezydentury na fali ogólnego wołania o zmianę. Jakąkolwiek, byle zmianę.

Duda nie odpowiedział na żadne pytanie dotyczące kwestii międzynarodowych, bezpieczeństwa, zasłaniał się głównie swoimi obietnicami obniżenia wieku emerytalnego, podniesienia kwoty wolnej od podatku i wieloma innymi, jakie w tej kampanii złożył (może z prezydenckich debat w przyszłości wyłączyć tematykę gospodarczą przynależną rządowi?), zasłaniał się swoim projektem konstytucji opinii publicznej nieznanym. Wiarygodności miały mu dodawać sojusze ze związkami zawodowymi, w tym dość egzotyczny – z OPZZ. Komorowski wygrał, bo nie zamazywał różnic, ale właśnie dobitnie pokazywał, czym różni się państwo PiS od jego obozu politycznego. Duda usiłował te odmienności zamazać, powtarzając dokładnie to, co mówił podczas powyborczego wieczoru, że jest człowiekiem dialogu, że szanuje każdego, że nikogo nie wyklucza. W ustach przedstawiciela PiS dla bardzo znacznej części wyborców brzmi to kompletnie niewiarygodnie. Wielu komentatorów uważa, że ten podział już nie istnieje, że jest nieważny, bo przecież młodzi nie pamiętają IV RP i między innymi dlatego tak licznie poparli Pawła Kukiza jako niosącego jakiś rodzaj nowego otwarcia (czytaj s. 27). Jednak jest to w dalszym ciągu podstawowy w Polsce podział polityczny. I nie jest to „straszenie PiS”, to jest spór o zakres i tempo modernizacji, o wolności obywatelskie, wreszcie o rolę i pozycję Polski w Europie.

Podstawowym problemem Bronisława Komorowskiego przed drugą turą nie jest to, czy umizgiwać się do wyborców Kukiza. Dla większości z nich i tak pozostanie

przedstawicielem starego systemu, który trzeba zdemolować. Podstawową kwestią jest przyciągnięcie do urn tych wyborców Platformy, którzy pozostali w domach (niska frekwencja w tradycyjnych twierdzeniach Platformy, czyli w województwach zachodnich, jest tu największą rezerwą) i którzy poczuli się jeszcze bardziej sfrustrowani, gdy tuż po przegranej pierwszej turze prezydent wystąpił w marnej formie, z przeczytanym z kartki równie marnym przemówieniem, na dodatek z ideą referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych. Tymczasem to był właśnie moment, w którym dobrym, mocnym wystąpieniem, także wskazującym przyczyny własnej porażki, a nie odwołaniem się do ogólnego, banalnego stwierdzenia o złotej kartce dla „oboza władzy”, prezydent mógł wiele zyskać, ale jakby uparł się, aby nadal tracić. W takich chwilach pokazuje się wolę walki, a tymczasem wówczas przeważał szok po przegranej, zakłócający ogląd sytuacji. I to było widać. Tym więcej miał, i ma nadal, Bronisław Komorowski do odrobienia przed drugą turą. Wierzyć wyborczy z Dudą po prostu przegrał.

Idea JOW w wyborach do Sejmu (bo jednak na wielu innych szczeblach Platforma je wprowadziła) towarzyszyła PO od początku jej istnienia i może nawet nie ma w bliskawicznym jej przejęciu nic niestosownego, gdyby nie było to tak instrumentalne i gdyby upływ czasu nie spowodował, że rozmyła się – słusznie zresztą – jako program wyborczy PO. Także dlatego, że doświadczenia innych krajów (ostatnio w Wielkiej Brytanii aż nadto dobitnie) pokazywały, że prowadzi do tego, co uważa się za największą wadę naszego systemu politycznego. Czyli podziału wyborczego tortu między dwie partie, wykluczającego reprezentację kilkunastu czy nawet kilkadziesiąt procent obywateli. Dobrze, że w debacie prezydent mówił już o bardziej zrównoważonym niemieckim systemie wyborczym i podkreślał, że chodzi mu tylko o umożliwienie dyskusji na temat zmian w ordynacji. Debaty o ich konieczności trwają od lat i zawsze potykają się na zapisanej w konstytucji proporcjonalności. Czy od niej odejdziemy to inna sprawa. Wydaje się, że nawet w ramach proporcjonalności można ordynację zmienić, nieco obniżając próg wyborczy czy stosując inny system przeliczania głosów na mandaty. Każda zmiana musi jednak brać pod uwagę zdolność Sejmu do wyłonienia trwałej władzy wykonawczej.



Czy w naszej kulturze politycznej, przy tak ostrej polaryzacji, można odmienić bieg zdarzeń i wybory wygrać debata? Debata Waleśa–Kwaśniewski czy Kaczyński–Tusk przed laty przyniosły sukces aspirującym do władzy, obiecującym zmiany.

Dziś sytuacja jest jednak inna. Do tej debaty prezydent Komorowski stawał w sytuacji

trudniejszej niż jego przeciwnik, bo nastroje wyraźnie się zmieniły i to kandydat PiS płynął na fali wznoszącej. To po wypadnięciu z wyścigu Kukiza Duda mógł stać się właśnie symbolem zmiany, a Komorowski obrońcą status quo. Nic więc nie jest rozstrzygnięte i nadal bliżej zwycięstwa jest Andrzej Duda, choć pokazał się jako kandydat zdecydowanie niższej ligi, po prostu słaby. Być może Polacy uznają jednak, że urząd prezydenta służy do odbywania praktyki, czegoś w rodzaju stażu przed wejściem do prawdziwej polityki. Byłoby to zachowanie mocno oryginalne, ale jednak możliwe. Widać koniec pewnej epoki, w której ton nadawali ludzie Solidarności, zwłaszcza tej pierwszej, prawdziwej Solidarności, ich miejsce zajmują produkty politycznego marketingu. Być może nawet z przyszłością, ale jeszcze bardzo surowe, dobre na wiec, do ładnego spotu, lecz nieprzygotowane do rządzenia.

To też czas wielkiego zamieszania, co może najwyraźniej widać po lewej stronie, kompletnie pogubionej po pierwszej turze, zatopionej w debatach i pospiesznych inicjatywach skłecenia jakiegoś forum porozumienia, choć woli kompromisu nie widać (czytaj s.15). Prominentni przedstawiciele środowiska gejów opowiadający, że zagłosują na superkonservatywnego Dudę, kierującego się wskazaniem episkopatu, to doprawdy dziwactwo. Leszek Miller w upadającym SLD też w praktyce ułatwiający drogę do prezydentury kandydatowi PiS (bo tyle oznacza deklaracja, że Sojusz nie popiera żadnego kandydata) to wyraz jego własnej frustracji. Jest źle, więc niech będzie gorzej? Zresztą, skoro miało się Magdalenę Ogórek, dziś skazującą się, że przegrała wybory przez Sojusz, który ją spętał, to dlaczego ma nie być Duda? Nie należy przeceniać poparcia ze strony innych partii, choć nie należy ich też lekceważyć. Kampania Bronisława Komorowskiego nabrała wyrazu także dlatego, że ludowcy uwolnili się od własnego kandydata i aktywnie wspierają prezydenta. Może prezydent zaistnieje wreszcie na wsi, choćby dlatego, że pojawią się jego plakaty i proboszcz przestanie być jedynym źródłem informacji. Czy to wystarczy prezydentowi? Trudna sprawa, ale Komorowski nie jest zawodnikiem wagi lekkiej.

JANINA PARADOWSKA

O straszaniu PiS-em

Ci, którzy chcą „wielkiej zmiany” – w tych wyborach mogą dostać Andrzeja Dudę z PiS, a w następnych całe PiS. Czy o to im chodzi?

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Ile razy można, dajcie spokój, nie straszcie, zajmijcie się Komorowskim i Platformą – to częste reakcje na przypomnienie o zagrożeniach płynących z ewentualnych zwycięstw wyborczych PiS i jego prezydenckiego kandydata. „Straszenie PiS-em już nie działa” – powtarzają różni specjaliści od marketingu politycznego. Spróbujmy zatem wyjaśnić, o co chodzi w tym straszaniu.

Bo może jest tak, że PiS było kiedyś okropne, ale zmieniło się na lepsze i to już jest całkiem inna partia niż przed 10 laty? Zastanówmy się jednak, czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego prezes Kaczyński miałby zrezygnować ze swojej doktryny politycznej, którą wyznaje od lat i która wciąż daje mu władzę na prawicy? Przeciwnie, jego determinacja po ośmiu latach staczenia się kraju w przepaść – bo tak w istocie określa PiS rządy Platformy – mogła tylko wzrosnąć. Wystarczy zresztą zajrzeć do programu na partyjnej stronie internetowej, słuchać zapowiedzi, odczytywać sens i groźby w nich zawarte. A czego nie mówi Kaczyński, dopowiadają jego medialni zwolennicy. O rozmiarach „zmiany”, jaka jest już szykowana, można poczytać na prawicowych portalach.

Poza tym, mimo różnych przesunięć personalnych, Jarosław Kaczyński od lat używa w swojej polityce tych samych ludzi, którzy są mu posłuszni i wierni i dzielają w pełni jego wizję świata. Czasami, jak teraz, chowa ich w cieniu, gdy nie widać choćby Macierewicza czy prof. Pawłowicz, bo na plakatach jest twarz Andrzeja Dudy. Ale oni pojawią się natychmiast, gdy ten flirt się skończy. Już w samym chowaniu najważniejszych działaczy, w zakłęciach „niepokornych” publicystów, aby prezes wytrzymał, nie dał się sprowokować, nie chlapanął czegoś za bardzo szczerego, zawiera się cały fałsz tej kampanii, wyborcza mimikra, która ma zwieść odbiorców polityki. Oznacza: teraz poddawajmy, a sobą będziemy po zwycięstwie.

Przypomnijmy w skrócie, na czym polega – wciąż podtrzymywana – koncepcja państwa Jarosława Kaczyńskiego. To państwo, gdzie partia zdobywająca większość w parlamencie przyznaje sobie prawo do przejęcia wszystkich instytucji, narzucania ideologii i moralnego przywództwa. Nie jest to już demokracja liberalna, zakładająca równowagę władz i wpływów oraz ochronę mniejszości, także politycznych, ale coś, co się w Rosji nazywa demokracją suwerenną, gdzie zwycięzca bierze wszystko, po czym dokonuje *sanacji*, tropi układy, mianuje wrogów.

W tym systemie liczy się zrealizowanie partyjnych postulatów za pomocą wszelkich dostępnych metod: prowokacji, kłamliwych obietnic, insynuacji, oszczerstw, niewydarzonych koalicji, napuszczania jednych grup społecznych i zawodowych na inne, fobii wobec sąsiednich krajów, historycznych resentymentów, antyunijnych obsesji. Pamiętamy, że jeśli czegoś nie udawało się zrobić po myśli PiS, mówiło się z pogardą o tzw. imposybilizmie

prawnym. Jeśli na coś nie zgadzał się Trybunał Konstytucyjny, szukano haków w życiorysach sędziów, jeśli media nie były posłuszne, to w kilkadziesiąt godzin PiS znowelizowało ustawę, zmieniło skład KRRiT i wprowadziło swoich ludzi na Woronicza i do innych stacji. Znany był niechętny stosunek PiS do organizacji pozarządowych.

Kaczyński, podobnie jak teraz Orbán na Węgrzech, rozwijał system osobistej władzy. Chciał państwa autorytarnego i centralistycznego, gdzie „uczciwi obywatele nie mają się czego bać”, ale kryteria tej uczciwości ustala omnipotentna partia. Gdzie państwo jest traktowane nie jako sługa obywateli, ale jako wartość nadrzędna, gdzie obywatele powinni służyć władzy, która uosabia jego majestat. Państwo PiS to kwintesencja systemu, który rozdaje, nagradza posłuszeństwo i napiętnuje tych, którzy – jak to się czasami ujmuje na Węgrzech Orbána – „nie chcą się włączyć w pozytywną pracę dla narodu”.

Takie podejście widać i w uładowym Andrzeju Dudzie, który np. ogólnie dopuszcza referenda, ale wyklucza je w kwestiach światopoglądowych, niepodlegających, jak należy rozumieć, dyskusji. To jest esencja takiego myślenia. Jego istotą jest brak zaufania do procedur, ustaleń, standardów płynących z innych źródeł niż własny komitet polityczny. Oraz przekonanie, że aby pożądanym projektem państwa mógł się powieść, trzeba wszystkie stanowiska obsadzić właściwymi, uświadomionymi ideologicznie ludźmi, czyli własnymi kadrami.

PiS ma ambicje wypowiadać się o wszelkich dziedzinach, sprawdzać proces wychowawczy młodzieży, zawartość podręczników, treść teatralnych spektakli i programów telewizyjnych. A także ludzkich biografii, rodzinnych i towarzyskich powiązań, sieci interesów – w przekonaniu, że świat widzialny nie jest prawdziwy, że za nim kryje się prawdziwa rzeczywistość, którą należy zdemaskować. To politycy PiS – jako jedyni w polskim życiu publicznym – mówili o „genetycznym patriotyzmie” i wrodzonym „zaprzaństwie”, o tym, że jedni są z pokolenia AK, a inni wręcz przeciwnie. Ta głęboka nieufność wobec ludzi, szukanie ukrytych, niskich motywów, spisków, zależności, jakie stoją za faktami i osobami, to może najbardziej charakterystyczna cecha państwa PiS, którego uosobieniem stał się zaleźny od rządu prokurator.

Idea IV RP, nawet jeśli dziś nie jest wprost przyzywana, jest jeszcze bardziej obowiązująca niż w latach 2005–07, jako że została wyposażona w wielki mit – smoleński, ofiary poniesionej w służbie wielkiej idei. Zresztą to ideologiczne wyposażenie jest bez przerwy wzbogacane, samo się rozwija i napędza. Czy to w postaci polityki historycznej, czy w rozkręcaniu swoiście praktykowanej lustracji kolejnych pokoleń „resortowych dzieci”, w kompromitowaniu wybranych do odstrzału autorytetów. I wreszcie, we wzmacnianiu politycznej symbiozy z Ko-



ściołem i jego najbardziej konserwatywnymi hierarchami, a już zwłaszcza z ojcem Rydzykiem.

Ale racjonalizacja, jaka towarzyszy kampanii Andrzeja Dudy, idzie dalej: słychać, że PiS w istocie nigdy nie było takie straszne, jak głosiła propaganda Platformy, że jego wady i grzechy wyolbrzymiano. Fakt, im bardziej oddalamy się od 2007 r., im bardziej pamięć się zaciera (a wielu obywateli dorosło do praw wyborczych w latach następnych), tym łatwiej twierdzić, że PiS było i jest normalną partią, nie lepszą i nie gorszą od innych. I czymś naturalnym jest zastąpienie – wolą wyborców – do tej pory rządzących, jakże zmęczonych i wypalonych, ekipą Jarosława Kaczyńskiego, za którym stoją przecież miliony Polaków. Piszemy o tym często (nie tylko zresztą my, ostatnio prof. Marcin Król mówił o wyjątkowej, „toksycznej”, roli PiS w polskiej współczesnej demokracji), że nie powinno się popełniać błędów i sprowadzać dzisiejszego konfliktu politycznego do poziomu normalnej jakoby gry parlamentarnej. Dobrze wiemy, jak można system demokratyczny używać i nadużywać.

Jest też kolejna interpretacja pozwalająca uspokajać i usypiać myśli i sumienia. Według takiej zasady: może PiS było okropne i nie do zniesienia, ale Platforma też jest taka. Grzechy się zatem równoważą, więc gra zaczyna się od początku, pamięć jest amputowana, scena polityczna zresetowana. Bomba znowu idzie w górę: niech wygra lepszy. Przy czym Andrzej Duda w jakiś cudowny (kampanijny) sposób został w oczach wielu wyborców odspawany od PiS, nie reprezentuje już w ogóle Kaczyńskiego, Macierewicza i reszty, a Komorowski przeciwnie – za nim ma stać cała arogancja Platformy, wszystkie jej niedolności i przewiny.

A może w tym „nie straszcie PiS-em” chodzi o to, że nawet jeśli PiS wróci do władzy, to nie będzie miało dawnej siły, wejdzie w trudne koalicje, uwikła się w wewnętrzne walki i znowu źle skończy. A Platformie przysięga przerwa we władzy i nauczka.

Już pojawiają się sugestie, że może lepiej, żeby prezydent był z PiS, a rząd Platformy. A jeśli Duda w przyszłości wygryzie Kaczyńskiego, to jeszcze lepiej. Jednak w pierwszym przypadku grozi piekło konfrontacyjnej kohabitacji i dwuwładza, a druga możliwość nie istnieje, gdyż Duda jako głowa państwa nie może zostać prezesem PiS, już szybciej zostanie nim Joachim Brudziński. Natomiast objęcie przez PiS rządów, zwłaszcza w podwójnej postaci (prezydent i premier), zapewni powrót stanu podwyższonej gorączki, politykę faktów dokonanych, agresję „niepokornych” mediów, na wszystkich wrogów Partii, Prezesa i Państwa. Gwarantuje rozliczenia, zapewne procesy sądowe i przed Trybunałem Stanu, które są już zapowiadane, awanturnictwo w polityce zagranicznej, a także usankcjonowanie „patriotycznej” propagandy historycznej.

Gdyby Andrzej Duda teraz wygrał, będziemy mieli od razu pokazową lekcję tego typu polityki. Można być pewnym, że nowy prezydent natychmiast rozpocząłby kampanię wyborczą PiS, wykorzystując wszystkie możliwości, jakie daje urząd prezydencki w destrukcji i oporze wobec rządu. Wyobraźmy sobie, jak w dzień po zaprzysiężeniu Andrzej Duda wnosi do Sejmu projekt ustawy obniżającej wiek przechodzenia na emeryturę. Ustawa przed wyborami oczywiście by nie przeszła, ale ustawiłaby całą kampanię i zepchnęła Platformę do głębokiej defensywy. PiS nie zawracałoby sobie głowy rachunkiem ekonomicznym, zwłaszcza odsunęty w przyszłość, kiedy ma do załatwienia polityczną misję.

Zresztą PiS nigdy nie udowodniło, że ma ludzi kompetentnych w sprawach ekonomicznych i finansowych, że – poza rozdawaniem publicznych pieniędzy – ma jakąkolwiek koncepcję rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych. Jego rządy przypadły na końcówkę świetnej koniunktury ekonomicznej, a specjalnych efektów nie było widać. Tak jak dzisiaj Polacy emigrowali, szukali pracy, zaciągali ryzykowne kre- ▶